



Co mówią  
ptaki wędrowne



# Co mówią ptaki wędrowne



Barbara Kaczyńska



Warszawa 2010

© Copyright by Barbara Kaczyńska, 2010

© Copyright by Biblioteka Analiz Sp. z o.o., 2010

Redakcja: Adrian Sinkowski  
Korekta: Zespół  
Projekt okładki: Grzegorz Zychowicz | Tatsu   
Ilustracja na okładce: Mateusz Pawlik | [www.brenio.pl](http://www.brenio.pl)  
Zdjęcie autorki: Arkadiusz Łoś  
Łamanie: Tatsu  [tatsu@tatsu.pl](mailto:tatsu@tatsu.pl)

ISBN 978-83-62948-48-2

Wydanie I  
Warszawa 2010



*Mojemu pierwszemu czytelnikowi –  
Zbyszkowi*

# Rozdział I

**P**oranek jak poranek. Nic nie zapowiadało, że tego dnia stanie się coś odbiegającego od normy. Jednak zwyczajowy porządek rzeczy miał być zakłócony, i to solidniej niż kiedykolwiek od pięciu lat — tylko że Rod jeszcze o tym nie wiedział. Leżał na podłodze z zamkniętymi oczami, łudząc się, że na pewno nie wybiła jeszcze nawet piąta i można spać, spać, spać. Tak mu się nie chciało wstawać. Był gdzieś na granicy jawy i snu, błędząc po tej granicy i zataczając się raz w lewo, raz w prawo, jednocześnie czując chłód kamiennej podłogi i nie czując go, słysząc i nie słysząc chrobotania myszy, powracających do nor po nocnym obżarstwie, żałując, że przykryty jest tylko jednym szorstkim kocem i w tym samym czasie myśląc sobie, że to zimno, które mu dokucza, to tylko sen.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł go głuchy dźwięk, przypominający walnięcie dłonią w stół. Po tym nastąpił przeraźliwy szcęk, terkotanie nakręcającej się sprężyny i w końcu zegar zaczął bić. Jego uderzenia brzmiały jak brzęk pękniętego dzwonu — bom-bim. Raz. Dwa. Trzy. Cztery...

Zanim Rod skończył liczyć, poczuł na policzku długie, łaskoczące go, jedwabiste włosy. Jęknął cicho i przewrócił się na bok, ale właściciel łaskoczących włosów nie rezygnował.

— Wstawaj — chuchnął mu do ucha, łaskocząc jeszcze bardziej. Rod jęknął po raz drugi, machnął bez przekonania ręką i nakrył głowę kocem. Nie chciał jeszcze wstawać. Jeszcze nie...

— Wstawaj — powtórzył nieustępliwy dręczyciel. — Bubalus będzie zły. Nie lubi lenistwa.

— Idź sobie. Przez ciebie straciłem rachubę i nie wiem nawet, która godzina — burknął Rod spod przykrycia. Czy po czwartym było jedno, dwa, czy może trzy uderzenia?

— Późno. No już, ruszaj się — uparciuch nie ustępował. Wsadził zimny, wilgotny nos pod koc i oblizał szyję Roda.

— Daj mi spokój — wymamrotał tylko. Zaraz jednak poczuł, że coś ściąga z niego koc. Niechętnie otworzył oczy, by stawić czoła ciemnemu porankowi.

— To która naprawdę godzina? — spytał.

— Szósta.

— Idę spać — zdecydował i wyrwał jenotowi swój koc.

— Jak można być takim leniem. Susły wstają chętniej i szybciej — mruknął jenot i wskoczył swojej ofierze na brzuch. Chłopak wrzasnął i szybko usiadł, zrzucając zwierzę na podłogę.

— Miałeś tego nie robić. A przynajmniej nie tak znieuczka — powiedział z wyrzutem. Westchnął i przeczesał włosy palcami. — Chyba muszę jednak wstać... Ale słuchaj, jest zima. Zimą jenoty *spią*.

— Ty nie jesteś jenotem.

— Ale ty owszem. Gdybyś tak się solidnie przespał... Ja też przy okazji mógłbym i nikt nie zrywałby mnie bladym świtem.

Jenot filuternie przekrzywił głowę na bok. Zapewne uśmiechnąłby się, gdyby mięśnie pyska mu to umożliwiały.

— Mam pokarmu pod dostatkiem. Nie widzę powodu, by zasypiać. No i drzemię sobie w dzień.

— *Wyzdyla murg madnema oghi ytsa* — mruknął Rod.

— Miałeś ćwiczyć sylstyński... — przypomniał mu jenot.

— Wiesz co? Jesteś gorszy niż sumienie. Dobrze więc, rozważam zamknięcie cię w komórce bez myszy — powiedział Rod z rezygnacją i zaczął zakładać buty. — I od razu możesz

mnie zrugać, że źle wymówiłem któreś słowo. Nic mnie nie obchodzi ten sylstyński. Umieję czytać, nie wystarczy?

— Po sylstyńsku możesz porozumieć się ze wszystkimi na Łądzie Półokrągłym — przypomniał mu po raz drugi jenot.

— Doprawdy, przy tobie sumienie niepotrzebne — skrzywił się Rod i założył drugiego buta. Podeszwy były nieco podziurawione, a skóra wytarta, ale nadal dobrze się w nich chodziło. Zwłaszcza, że dopiero teraz na niego pasowały. Bubalus kupił mu je na wyrost. Bardzo na wyrost. Poza tym, Rod nie mógł przecież tak pochopnie wyrzucać swoich pierwszych butów, chociaż służyły mu już cztery lata i dość się zniszczyły.

Popatrzył z niesmakiem po swojej klitce. Całą jej powierzchnię, poza niewielkim skrawkiem podłogi, na którym sypiał, zajmowały zakurzone tomiszczka. W kątach kryły się spowite pajęczynami królestwa rozmaitych stworzeń, których istnienia nawet się nie domyślacie. Na jednej z ksiąg stała przylepiona stopionym woskiem świeca, do połowy wypalona i bardziej przypominająca niekształtną kupkę stearyny ze sterzącym zeń knotem. Przez niewielkie okienko w grubej ścianie nie wpadało jeszcze światło, więc w klitce panował nieprzyjemny mrok.

— Wydaje mi się, czy on znowu władował mi tu swoje przekłete książki? — spytał Rod, kończąc wiązać buty.

— Owszem. Brakuje mu u siebie miejsca.

— Brakuje mu miejsca — powtórzył drwiąco Rod. — Też mi coś. To jeszcze nie powód, żeby zmniejszać moją przestrzeń... no, osobistą. Zresztą, po co mu te wszystkie książki, ciekaw jestem.

Pomrukując gniewnie, opuścił klitkę i z jenotem u nóg poszedł do kuchni.

Kuchnia, jak wszystko w zamku Bubalusa, posiadała dwie charakterystyczne cechy — była ogromna i zaniedbana. Sufit ginął gdzieś wysoko w ciemności, a osmalone ściany z pewnością pamiętały lepsze czasy, gdy używano ogromnego paleniska,

nad którym co noc obracały się na rożnach całe stada dzików. Czasy świetności Rosseranu. Co wieczór odbywały się wtedy uczty, przy długich stołach w jadalni zasiadali rycerze i „kochankowie Zofii”, jak nazywano sofiaszy, a także hrabianki, księżniczki i inne nadobne damy z wyższych sfer. Komnaty rozbrzmiewały śmiechem, a po kuchni krążyły gromady kuchcików, podkuchennych i kogo tam jeszcze. Komenderował nimi rosły kucharz, co chwila wynoszono półmiski wielkości kół od powozów... Półmiski wypełnione pieczoną dziczyzną, pawiami z piórami ułożonymi na powrót w wachlarz...

Przynajmniej wydawało się Rodowi, że tak właśnie musiało to wyglądać. Czytał co nieco o złotym wieku i niekończących się zabawach we wszystkich zamkach Królestwa Łądu Półokrągłego, w szczególności właśnie w Rosseranie. Ale teraz twierdza świeciła pustkami, za mieszkańców mając dwoje ludzi i kilka zwierząt. Rod trochę dziwnie czuł się na samym początku, ledwie przyjechawszy do zamku, zwłaszcza po życiu w rodzinnej wiosce, ale zdążył się przyzwyczaić.

Doszedł po dłuższej chwili do pieca na samym końcu kuchni, dobudowanego później, gdy liczba lokatorów zamku znacznie się zmniejszyła. Nad piecykiem wisiały w rzędach na hakach różne rondle, patelnie i garnki. Niektóre zaczynały już rdzewieć, a rudawe płatki wpadały nierzadko do gotujących się potraw. Należałoby zdjąć te naczynia, ale Bubalus nigdy nie zaprzętał sobie głowy porządkiem, a Rod nie dosiegał po prostu do haków. Jak na trzynaście lat, był dość niski, zresztą jak każdy Wylfita. Po lewej czernią ziało nieużywane ogromne palenisko do dziczyzny. Jenot jak zwykle zmarszczył na jego widok nos, po czym ułożył się na legowisku przy piecu, ciepłym jeszcze, chociaż ogień wygasł w nocy. Rod rozpalił go na nowo, zamknął z trzaskiem drzwiczki pieca i zajrzał do spiżarni. Była prawie pusta. W zimnym pomieszczeniu ujrzał jedynie kilka jajek sprzed dwóch dni i pęczek marchewki.

— Dzisiaj przyjeżdża zaopatrzenie — przypomniał jenot. Rod kiwnął głową. Całe szczęście. Jeszcze jeden dzień na wodnistej kartoflance i chyba by zaczął nią rzygać.

Zastanowił się, czy Bubalus znajdzie może tego dnia czas na lekcję. Dobrze by było. Poprzednia odbyła się jakiś tydzień temu.

— Nie znajdzie — mruknął jenot, ziewając. Rod odwrócił się ze złością.

— Znowu czytasz mi w myślach. To denerwujące!

— Przepraszam — powiedział znudzonym tonem jenot, rozplaszczając się na legowisku. — Rób lepiej to śniadanie.

— Nic cię to nie obchodzi — burknął Rod, stawiając na płycie kuchennej jedyną nadającą się do użytku patelnię. — A to nie jest ani miłe, ani uprzejme i w ogóle. I nawet nie było w tej chwili konieczne.

— Och, nie denerwuj się tak — jenot spojrzał na niego żalostnie. Wyglądał na naprawdę skruszonego, nawet baki chyba mu nieco obwisły. Rod musiał się uśmiechnąć.

— Oszust — oskarżył go. — Już nie udawaj, wiem, że wcale ci nie przykro.

Jenot zaczął oczywiście protestować. Rod parsknął tylko i zaczął robić mega jajecznicę dla nienasyconego brzucha Bubalusa. Po kilku minutach była gotowa. Sprawdzając, czy nie śledzi go przypadkiem kukabura mistrza albo, co gorsza gronostaj, chłopak włożył szybko do ust kawałek, a resztę potrawy przykrył wyszczerbioną pokrywą. W zamku tylko mistrz miał prawo jeść jajka i mięso. Rod, jako uczeń i na dodatek uczeń niskiego pochodzenia, musiał zadowolić się chlebem, warzywami i nędznym ochłapem raz na tydzień. Musiał, to nie znaczy wcale, że stosował się do tego nakazu. Uważał go za śmieszny — umarłby chyba z głodu, gdyby po całych dniach ćwiczeń jadł tylko marchewkę. Jednak zawsze zachowywał ostrożność, by nie zostać przyłapanym na łamaniu przepisu.

Usiadł na długim stole poznaczonym śladami po nożach, a także widocznie nadgryzionym żarłocznym zębem czasu. Jenot drzemał na swoim posłaniu. W pewnej chwili poderwał się. Węszył przez chwilę, po czym wyraźnie się uspokoił. Kukabura, powiedziały jego myśli.

— I kto tu teraz komu włązi do głowy, co? — powiedział jenot, układając się na nowo na legowisku.

— To było niechcący — powiedział sennie Rod. — Taka jest właśnie różnica — mnie jest przykro, a tobie nie.

— Zrzęda.

Korytarzem prowadzącym z hallu do kuchni przyfrunęła kukabura Bubalusa. Przysiadła na okapie nad piecem i przekrzywiła na bok głowę.

— Cześć — przywitała się. — Przyleciałam tylko powiedzieć, że grubas już idzie — zawsze traktowała Bubalusa z pewnym lekceważeniem. — Kazał mnie przekazać trzy rzeczy. Raz, żebyś robił herbatę. Dwa, że dzisiaj odbędzie się lekcja. Trzy, ma dla ciebie niespodziankę — roześmiała się głośno na widok miny Roda. — Zaskoczony, co?

Cała senność zniknęła natychmiast. Rod nie pomyślał nawet, żeby spojrzeć triumfalnie na jenota, tylko spytał ze zdziwieniem:

— Jaką niespodziankę?

Kukabura zamrugała oczami i przyjrzała mu się uważnie, jakby zastanawiając się, czy jest godny odpowiedzi. Nastroszyła pióra i zaczęła myć sobie skrzydło.

— Nie wiem — powiedziała w końcu lekko obrażonym tonem. — Nie powiedział mi, paskud jeden.

— Szkoda — mruknął jenot. Bubalus nie pozwalał swoim zwierzętom na czytanie jego myśli. Doskonale się przed tym zabezpieczał. I dobrze robił. Rod to wiedział. Lepiej nie zawiązywać zbyt bliskich więzi ze zwierzęciem... To niebezpieczne.

Z kwaśną miną zeskoczył ze stołu i wyszedł na dziedziniec. Na dworze panowało jeszcze gorsze zimno niż w zamku, ale

chłopak dobiegł jak najszybciej do studni i wyciągnął wiadro z wodą. Kołowrót poruszał się podejrzanie ciężko. Oby tylko nie zamarzł, jak poprzedniej zimy.

Rod wrócił do środka i zaczął gotować wodę na herbatę lipową dla mistrza. Płyta rozgrzała się już solidnie i musiał uważać, żeby się nie oparzyć. Kukabura przysiadła na stole i snuła przypuszczenia, co też Bubalus mógł mieć na myśli, mówiąc o niespodziance.

— Może wizytę jakiegoś maga — skrzeczała. — Albo emocjonującą podróż. A może... może da ci twój własny miecz!

Rod poczuł, jak coś podskakuje mu w żołądku. Miałby mieć własny miecz? Należący wyłącznie do niego? Byłby prawie jak rycerz... Mógłby nadać broni imię, jak bohaterowie w pieśniach...

Z drugiej strony, ta niespodzianka mogła oznaczać po prostu odwiedzinę kogoś z kumpli mistrza, tak jak kilka lat temu, gdy przyjechał jakiś piekielnie brzydki facecik Gudwin ze swoją wyniosłą żoną o rudych, siwiejących już włosach. Bubalus nie wyrażał się zbyt pochlebnie o Gudwinie.

— Co to za sofiasz w ogóle, co bierze sobie kobietę — zrzędził przed ich przyjazdem. — Sofiasze to wolni, wolni ludzie, ot co. Nie mogą wiązać się więzami rodzinnymi, ot co. To w ogóle nie jest sofiasz, przecież on tę Sumparycję czy Schorafilę bardziej ceni niż swoje zwierzę. A przecież nawet ty, Rod, zupełnie początkujący uczeń, zdajesz sobie sprawę, że sofiasz bez zwierzęcia to nie sofiasz. Swoją drogą, biedny wychuchol Gudwina. Taki teraz odtrącony...

Uch, ta wizyta zapadła Rodowi głęboko w pamięć, bynajmniej nie dlatego, że tak mu się spodobała. Teraz wzdrygnął się na samą myśl, że takie zdarzenie mogłoby się powtórzyć. Oby jednak ta niespodzianka to był miecz...

Jednak nie chodziło wcale o miecz. Rod zdejmował właśnie czajnik z ognia, gdy usłyszał za sobą huczący głos, który zaskoczył go tak bardzo, że chłopak prawie oblał się wrzątkiem.

— Zaskoczony, co? — wrzasnął Bubalus, wtaczając się do kuchni. — To źle, chłopcze, bardzo źle. Ile razy mam powtarzać — sofiasz musi zachować STAŁĄ CZUJNOŚĆ! Czy to tak trudno zapamiętać? Powtarzam — stała czujność! Bez tego wszystkie lekcje na nic. Nie pomogą ci w niczym, jeśli nie zachowasz stałej czujności. W każdej chwili musisz oczekiwać ataku! W każdej! No, chłopcze, dawaj to śniadanie. Na czym to skończyłem? A, tak. Ataku bronią! Ataku czarami! Ataku własnych myśli, chłopcze! Fach sofiasza to nie hocki klocki dla maluchów. Potrzeba tu trzech rzeczy: silnej woli, skupienia, i STAŁEJ CZUJNOŚCI!

— Tak, panie. Rozumiem — wymamrotał Rod, stawiając przed siedzącym na jedynym krześle w zamku Bubalusem talerz z jajecznicą.

— Prawdziwy sofiasz pamięta, że w każdej chwili mogą go dopaść wrogowie! Że mogą go rozszarpać dzikie bestie! Prawdziwy sofiasz — Bubalus przerwał, żeby wepchnąć sobie do ust solidną porcję śniadania — nie zapomina o czujności w najgorszych chwilach! Jedna chwila bez czujności... żuj, żuj... a zapomnisz wszystkie zakłęcia, wszystkie pchnięcia mieczem, wszystko! Prawdziwy sofiasz nie jest uspokojony nawet obecnością swojego zwierzęcia! Bo czujni muszą być oboje, zwierzę i sofiasz. Gotowi do ataku, mieczem czy czarem. Zapamiętaj, chłopcze. Jak posprzątasz i zrobisz codzienne ćwiczenia, przyjdź do mojej komnaty, musimy poćwiczyć szermierkę.

— Tak, panie.

— Nie każdy może zostać sofiaszem, ciam ciam, choć może się tak wydawać na pierwszy rzut oka. Prawdziwy sofiasz... — Bubalus „niestety” nie dokończył swego fascynującego przemówienia, gdyż przerwała mu kukabura.

— Za pozwoleniem, panie, ale miałaś dla niego jakąś niespodziankę — powiedziała, najwyraźniej sama ciekawa, o co chodzi.

— Niespodziankę? — powtórzył Bubalus. — A, niespodziankę! Coraz lepiej robisz jajecznicę, chłopcze, tak na marginesie. Żuj.

— To jest ta niespodzianka? — spytał jenot z niesmakiem.

— Jaka... Ach, prawda. Nie, nie, chodzi o to, że przyjąłem nowego ucznia. Przyjeżdża dziś po południu. Lepiej, żebyś napalił w jadalni. Tylko tam mogę go przyjąć, będzie z ojcem poza tym. I zrób miejsce w swoim pokoju, żeby miał, gdzie spać. Uczeń, nie ojciec, rzecz jasna — zachichotał mistrz, przelękając ostatni kęs jajecznicy.

— Ale... ale... ale u mnie nie ma miejsca — zaprotestował Rod. — Nie mógłby dostać innej komnaty?

Bubalus zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— Co ty sobie myślisz? Kiedy ja uczyłem się na sofiasza, musiałem spać w chlewiku ze świniami i byłem wdzięczny i za to. — „Biedne świnię”, mruknął jenot. — Żądano ode mnie na dodatek nienagannie czystego stroju. Sam widzisz, jak mało wymagający jestem wobec ciebie! Poza tym, wszystkie komnaty to biblioteki. Nie ma mowy — wypił duszkiem herbatę i wstał od stołu. — Oczekuję cię za dwie godziny w gabinecie. I pamiętaj — stała czujność! — przy ostatnich słowach dźgnął Roda końcem laski. Chłopak skrzywił się lekko i kiwnął głową.

Mistrz wyszedł majestatycznie z kuchni. Rod pokazał język jego plecom i umył pobieżnie talerz po jajecznicy.

— Wiecie, o co mi chodzi naprawdę. On już teraz nie ma czasu na lekcje, z drugim uczniem będzie gorzej. Kiedy skończę to przekłętą terminowanie, za pięćdziesiąt lat? — zrędził, oplukując marchewki i z irytacją zauważając na nich ślady mysich zębów.

— Przynajmniej będziesz miał jakieś towarzystwo — pocieszył go jenot.

— Towarzystwo! Po co mi jakieś towarzystwo. Pewno to jakiś maluch, co nie umie nawet czytać i ja będę musiał go



wszystkiego uczyć. Założę się, że ledwo łuk potrafi naciągnąć. I ciągle będzie chciał do żarcia jakieś ohydne słodczyce, których nie zobaczy się w promieniu setek kilometrów.

Kukabura roześmiała się głośno.

— Co to za nastawienie? — zachichotała. — Nie przejmuj się, nie będzie źle. Poza tym... Poza tym pogadam ze skunksem. Grubas zawsze go bardzo poważa — zachichotała znowu. — Skunks namówi lenia do roboty, zobaczysz. Grubcio cię przycisnie, jeśli tylko skunks jego przycisnie. No, muszę rozprostować skrzydła. Pa! — wyleciała przez okienko wychodzące na dziedziniec.

Rod żuł marchewkę, zastanawiając się, czy kukabura ma rację i kim jest ten cały uczeń. Bubalus jak zwykle mówił konkretnie, nie ma co. Otrząsał ręką i wzruszył ramionami.

— Rozumiem, że czas na ćwiczenia? — powiedział jenot, wstając z posłania i otrząsając się.

Przez następne pół godziny Rod i jenot biegali po schodach zamku i próbowali nie robić hałasu. Potem Rod założył starą kolczugę. Była niemożliwie ciężka i niewygodna, ale Bubalus twierdził, że nic nie wyrabia lepiej mięśni i silnej woli jak ćwiczenia w zbroi. Chłopak przeklinał w duchu dogmaty mistrza, zwłaszcza że nigdy nie widział, żeby stary sofiasz sam kiedyś ćwiczył.

— Trzy... dzieści — wydyszał Rod półgłosem. Podciągał się właśnie na rękach na drągu zamontowanym przez Bubalusa w holu. Jenot przyglądał się ćwiczeniom, a w oczach czaił mu się uśmiech. — To bez sensu — dyszał dalej Rod. — Trzydzieści jeden. Trzydzieści... dwa.

— Chyba nie dojdiesz do pięćdziesięciu — stwierdził jak zwykle jenot. Rod, jak zwykle, musiał przyznać mu rację.

— Właśnie że dojdę! — uparł się jednak. — Trzydzieści trzy. Trzydzieści cztery. Trzydzieści pięć. Trzydzieści sześć...

— Może pobijesz nawet swój ostatni rekord — powiedział

jenot. Ostatni rekord Rod ustanowił cztery dni wcześniej, podciągając się czterdzieści dwa razy.

— Trzydzieści siedem. Trzy... y... dzieści osiem... — wyrzucił Rod przez zaciśnięte zęby. — Trzydzieści dziewięć... — zacisnął zęby tak mocno, aż rozbolała go szczęka. — Och... Nie... — zaraz spadnie. Kolczuga ciążyła niemożliwie mocno ku dołowi. Rod zeskoczył na ziemię i rozprostował ostrożnie palce.

— Za słabe śniadanko — zawyrokował jenot. — I dlatego dieta nornikowa bardziej się opłaca, przynajmniej w tym zamku.

— Gdyby nie to żelastwo — sapnął Rod, ściągając brzęczącą kolczugę przez głowę — zrobiłbym i dwieście.

— Jasne.

— Zrobiłbym, co się śmiejesz.

— Wcale się nie śmieję.

— Mogę ci nawet pokazać. Może nie teraz, ale zrobiłbym.

— Ale nie ma tak łatwo. Musisz zakładać kolczugę.

W kominie z jadalni oczywiście zagnieździły się ptaki. Gdy Rod rozpałił ogień, zaczęły przeraźliwie skrzeczeć. No i przez ich gniazda dym nie miał ujścia, więc wkrótce cała jadalnia była go pełna. Cóż, trudno się mówi. Rod zgasił ogień, żeby przypadkiem jakiś przypalony ptak nie spadł akurat podczas wizyty gości i nie zaczął się fajczyć. Lepiej, żeby było zimno, niż duszno od spalin. Z drugiej strony, mistrz wyraźnie zaznaczył, że trzeba zrobić dobre wrażenie na ojcu tego całego nowego ucznia. Jeśli zrezygnują z pobierania nauk u Bubalusa, mistrz wszystko zwali na Roda. A to nie będzie zbyt przyjemne.

Rozejrzał się po jadalni i jęknął z bezsilności. Żeby doprowadzić to do stanu używalności, potrzeba by sztabu służby i co najmniej dwóch dni. Sala była ogromna, a wszystkie fryzy

i gzymsy pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyn — żeby długo nie mówić, sprawiało to wrażenie czegoś żałośnie zapuszczonego, odstręczającego i syfiastego.

Ale Rod miał tylko rozpalić ogień. Trudno. Mistrz chciał ognia, to będzie go miał.

Szybkie zakłęcie iluzji załatwiło sprawę. Bubalus nawet nie wiedział, że chłopak je zna. Więc nie powinien niczego podejrzewać. Ogień płonął ślicznie, jasno i realistycznie, a że nie dawał ani odrobiny ciepła, to już inna sprawa. Ha ha.

— Ładnie, chłopcze — powiedział Bubalus, niespodziewanie stając za plecami Roda. Chłopak odwrócił się spłoszony, a winę miał wypisaną na twarzy. Czy mistrz słyszał zakłęcie? Ale na szczęście stary sofiasz patrzył zupełnie gdzie indziej. Wpatrywał się w złocistoczerwone płomienie z zadumą.

— Ostatnio płonął tu ogień trzydzieści lat temu, na życzenie tej Subarycji, czy jak się nazywa żona starego Gudwina. Miała paskudną ranę. Pamiętam to, jakby stało się wczoraj. Gudwin zastukał do drzwi Rosseranu z tą Selchidą na plecach, a tydzień później musiałem przywoływać... Też na jej życzenie... Do diabła, ona umiała sobie człowieka podporządkować, swoją drogą... Musiałem przywołać jakichś ludków. Mieli śmieszne imiona, pamiętam dobrze. Żużel i Vinidicus? Nie, to nie to. Ale czasy były dobre. I pieniędzy nie brakowało... — rozmarzył się Bubalus. Zaraz jednak otrząsnął się z zamyślenia, klasnął w ręce i spojrzał na swojego ucznia. — Dzielnie się spisałeś, chłopcze, dzielnie. Będzie z ciebie sofiasz.

Bo rozpalił ogień? Rod prawie się roześmiał.

Bubalus tymczasem podszedł powoli do ściany, zmarszczył brwi na widok zakurzonej i miejscami pordzewiałej tarczy herbowej i jednym szybkim ruchem wyciągnął zza niej dwa stare, ciężkie miecze. Jeden podał Rodowi i wysyczał przez zęby:

— Broń się, chłystku!

Zdumiony chłopak uchylił się przed pierwszym ciosem, ledwo odparował drugi, prawie potknął się o miecz, z trudem uniósł ciężkie żelastwo nad głowę i machnął nim na oślep. Bubalus od niechcienia wytrącił mu broń z ręki, podkreślił węża i pogłaskał się po brzuchu.

— Taaak — mruknął. Zmierzył trochę zdyszanego ucznia wzrokiem i nagle zapytał — A jak twoje ćwiczenia w kolczudze?

— Eee... Dobrze, dobrze, jak myślę — wysapał Rod.

— Dobrze? To dobrze. Ale chyba ten miecz ciągle jest dla ciebie za ciężki... — Bubalus odwrócił się na pięcie, aż zafurkotał brzeg jasnioletowego surduta, i spacerowym kroczkiem ruszył w stronę następnej tarczy na ścianie, cały czas przemawiając, a jego gromki głos odbijał się echem od kamiennych ścian jadalni. — Musisz pamiętać, że nikomu nie wolno ufać. Zawsze musisz zachować STAŁĄ CZUJNOŚĆ. Nie wystarczy wyuczyć się kilku podstawowych cięć mieczem, żeby wygrać pojedynek. Należy bacznie obserwować każdy ruch przeciwnika, nawet jeśli nie wiesz jeszcze, że to twój przeciwnik. Jednym słowem, niczego nie bierz za dobrą monetę. Atak nadejdzie wtedy, kiedy najmniej się go spodziewasz. Cały czas musisz być skoncentrowany...

Rod z niechęcią wpatrywał się w szerokie plecy Bubalusa i kruczoczarną czuprynę, chwiejącą się nad fioletową masą. Nagle coś wpadło mu do głowy. Spojrzał na miecz, porzucony na podłodze. Spojrzał na mistrza, który dalej przemawiał do siebie, broń mając opuszczoną przy boku. Zatarł ręce, podniósł solidny kawał stali i kilkoma susami dopadł Bubalusa. Najszybciej jak umiał wytrącił mu miecz z dłoni i kopnął broń pod ścianę. Uniósł własny miecz i popatrzył w napięciu na sofiasza.

Ten roześmiał się głośno, z zadowoleniem podkreślając węża.

— Będzie z ciebie sofiasz, chłopcze, będzie. Pojętnyś nad wyraz. Tylko tak dalej!

Zdjął ze ściany dwie szable.

— Chyba cię uczyłem, jak się tym walczy, prawda? No, trzymaj. Rzuć w kąten ciężar — zachichotał, jakby właśnie opowiedział świetny dowcip. Rod z wahaniem odłożył miecz i wziął z rąk mistrza szablę.

Bubalus wydawał się ociężały i niezgrabny, jednak w rzeczywistości poruszał się tak lekko, jak okrągłutka piłeczka kauczukowa. Potrafił skakać we wszystkie strony, a broń w jego rękę poruszała się tak prędko, że chłopak ledwo mógł nadążyć z odparowywaniem ciosów. Od dawna podejrzewał, że mistrz pomaga sobie przy pojedynkach czarami... Co za niesprawiedliwość...

Nie wolno ci się rozpraszać. Skoncentruj się. Jedno cięcie, drugie, widzisz, znowu się uśmiecha, mruży lekko oczy, teraz musisz zaatakować, teraz jest dobra chwila. Ktoś coś tu mówił o stałej czujności?

Trzy guziki od surdutu z brzękiem upadły na podłogę. Bubalus ponownie roześmiał się serdecznie, skłonił się, odwiesił broń, cały czas zaśmiewając się, odwiesił również szablę Roda i usiadł na stole, trzymając się za brzuch, który chyba rozboleł go od długiego śmiechu.

— Twarda z ciebie sztuka, chłopcze — wykrztusił w końcu. — Przypomnij mi, ile ty masz lat?

— Trzynaście.

— Trzynaście lat i już taki jesteś zdolny! Ho ho! Za kilka lat nawet ja będę musiał uważać. Trzynaście lat i takie postępy!

Rod dopiero po kilku sekundach zorientował się, że powinien odpowiedzieć coś równie pochlebnego.

— Eee... Miałem dobrego nauczyciela — wymamrotał. Bubalus zarechotał.

— Och, przestań już, chłopcze, bo pękne. Doprawdy, klejnot znalazłem tego dnia, gdy przyjąłem cię na ucznia. Nie spodziewałem się po tobie takich postępów! Nigdy bym nie

pomyślał, że mały Wylfita może w tak krótkim czasie — ile to lat minęło? Pięć? Że młody Wylfita tyle może osiągnąć. Tylko tak dalej, chłopcze, tylko tak dalej. Niedługo chyba przejdziemy do zaklęć. Ale, ale — przypomniało mi się, dzisiaj przyjeżdża ten nowy uczeń. Zachowuj się jak najlepiej, chłopcze, pamiętaj. I... i... i... gdybyś mógł, postaraj się mówić tylko po sylstyńsku, dobrze?

— Dobrze — powiedział ponuro Rod. Przez chwilę cieszył się ze wszystkich pochwał mistrza, ale jakże szybko mu przypomniano, że jest tylko Wylfita! Mali Wylfici, nieokrzesani Wylfici, głupi analfabeci, dzicy wichrzyciele i krwiożerczy buntownicy. Kto by się spodziewał, że Wylfita w ogóle może być na tyle ambitny, by w wieku lat ośmiu samodzielnie przedwędrować kawał drogi i zostać uczniem sofiasza.

Rod postanowił sobie, że stanie się sofiaszem tak poważnym, że nikt już nie będzie o Wylfitach mówił z lekceważeniem. Sofiasz Dananrod z szlchetnego ludu Wylfitów, będą mówić o nim.

Ileż już razy mówił o tym jenotowi...

Bubalus, cały czas chichocząc, odszedł do swojego gabinetu, a Rod stał jeszcze chwilę w pustej jadalni. W drzwiach pojawił się jenot. Ziewnął szeroko, przeciągnął się i powiedział:

— Musisz jeszcze posprzątać w swojej klitce. Tego ci Bubalus nie odpuści, choćbyś nawet uciął mu wszystkie guziki.

— Miałeś nie czytać mi w myślach — odparł znużony Rod. — Jak się spało?

— Doskonale, a dlaczego pytasz?

— Pomyślałem tylko, że niedługo trudno ci będzie zasnąć, bo małe dzieci lubią ciągnąć takie słodkie, puchate zwierzątka za kudły.

— Jakie kudły, jakie kudły — obruszył się jenot. — Proszę mi się tu wyrażać poprawnym sylstyńskim. To nie są kudły. Swoją drogą — zastanowił się — to mali ludzie rzeczywiście lubią to robić... Znaczą ciągnąć za kudły...

— Słowem, żadnych korzyści nie mamy z tego nowego ucznia — powiedział Rod.

— Bubalus owszem, ma korzyści — odezwał się skunks, prześlizgując się koło jenota. — Nie wiem, czy powinienem zdradzać pobudki, jakie nim kierują... Ale, z drugiej strony, nie ma w nich naprawdę niczego zdroźnego. Właściwie wydaje mi się, że lepiej bym uczynił, gdybym wam powiedział, o co chodzi, niż gdybyście mieli wieszać psy na moim biednym panu — skunks pokiwał głową w sposób wielce dystyngowany i zaczął przechadzać się spacerowym krokiem w tę i z powrotem, tak jak często miał w zwyczaju robić to mistrz.

— Więc o co chodzi? — zniecierpliwiał się Rod. Skunks spojrział na niego z urazą.

— Gdzie ci się tak spieszy, chłopcze? Wiesz chyba, że co nagle, to po diable. Ale dobrze, wyjaśnienie jest okrutnie prozaiczne. Bubalus popadł w kłopoty finansowe. Ostatnio kupił kilka cennych książek, nawet bardzo cennych, i, naturalnie, to spowodowało, że straty w tym roku znacznie przekroczyły zyski. Nie mówiąc już o tych składnikach do zaklęcia dla salamandrowców. Nie wolno zapominać także o kilku zabytkowych sztukach broni, które Bubalus pieczołowicie przechowuje w sejfie jako obiekty kolekcjonerskie. Jednym słowem, ostatnio nie najlepiej z nim od strony, że tak powiem, ekonomicznej. A za nauczanie otrzyma, krótko mówiąc, słoną sumkę.

— Oczywiście. Ja nie jestem takim zyskownym uczniem — stwierdził gorzko Rod.

— Gorycz taka nie przystoi młodzieńcowi w twoim wieku. Gdy ma się lat trzynaście, winno się radować z całego świata, który ma jeszcze nam tak wiele do zaoferowania — zwrócił mu uwagę skunks, powiewając ogonem jak chorągwią. — A poza tym, Bubalus często powtarza, że okazałeś się znacznie zdolniejszy niż przypuszczał, i że ani trochę nie żałuje, że cię przyjął. Winienesz być dumny, chłopcze, gdyż, jak może zauważyłeś, Bubalus rzadko chwali kogoś, gdy chwalonego

nie ma w pobliżu. Wyjaśniłem chyba sprawę wystarczająco jasno? Bo wydaje mi się, że przeszkodziłem wam w sprzątaniu? Wykonujcie swoją powinność, jakby była przyjemnością, to szybciej to zrobicie — powiedział skunks, skinął głową i wymknął się z jadalni.

— Co mnie najbardziej zastanawia — powiedział jenot — to fakt, że on te słowa o powinności zawsze mówi bez cienia ironii. To zgoła nienormalne.

Jenot dosyć lubił ironizować i robił to nawet często, podczas gdy Rod sarkazmu używał nader rzadko i często nawet nie wylapywał go w wypowiedziach innych. Jakoś zawsze przyjmował słowa w takim znaczeniu, jakie miały dosłownie, i to niezależnie, czy zostały wyrzeczone po sylstyńsku, czy po wylficku.